

Stefan Szymutko

Bycie humanistą : o artykułach Janusza Sławińskiego w "Tekstach" (1972-1981)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 81/1, 351-365

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

ki z modernizmem i odwołania do dekadentyzmu, Kazimierz Wyka wskazywał na kompozycyjne podobieństwa z powieścią młodopolską. Gwoli sprawiedliwości przytoczyć trzeba i inne formuły odnoszące się do recepcji Kuśniewicza, które Hoelcher-Obermaier skrzętnie notuje: doszukiwano się u Kuśniewicza realizmu i neoklasycyzmu. Formuła, na którą ostatecznie zdecydował się badacz niemiecki: synkretyzm, jest bardziej ogólna i nie odsyła tylko do jednej tradycji czy jednej epoki historycznoliterackiej, wybija na plan pierwszy ową sekundarność oraz programowe łączenie wielu technik i tradycji. Synkretyzm jest cechą określającą zarówno światopogląd Kuśniewicza, jak i konstrukcję jego powieści. „Ograniczony, ale dysponujący możliwościami kreatywnymi narrator staje się — inaczej niż w powieści realistycznej — prawdziwym odbiciem autora, który przewycięża swoją ludzką ograniczoność w procesie twórczym. U Kuśniewicza paralelność autora i narratora podkreśla dobitnie obfite występowanie elementów autobiograficznych i *quasi*-autobiograficznych” (s. 215). Między wieloma poziomami powieści Kuśniewicza panuje więc zgodność, a wnioski płynące z analizy technik narracyjnych znajdują potwierdzenie na poziomie ideowym.

Książka niemieckiego badacza charakteryzuje się dużą dyscypliną myślową, a proponowane przez niego formuły tworzą spójny i przekonujący obraz prozy Kuśniewicza. Nie jest to zapewne praca w popularny sposób atrakcyjna, jej fachowość nie stwarza pretekstów do odchodzenia od właściwego tematu i poruszenia kilku „mniej właściwych”, ale za to bardzo ciekawych dla polskiego czytelnika stykającego się z reakcją na współczesną literaturę polską na Zachodzie. Kuśniewicz uchodzi przecież za pisarza „europejskiego” i jego bogata recepcja we Francji i RFN wydaje się to potwierdzać. W Polsce jest pisarzem o niekwestionowanej randze i zarazem niejasnej pozycji, co na pewno łączy się z jego postawą ideową, i książka niemieckiego badacza — pośrednio — takie rozpoznania podbudowuje.

Pewną wadą książki, zapewne niemożliwą do uniknięcia, bo wynikającą z jej perspektywy analitycznej, jest zacieranie różnic między powieściami. Dwie ostatnie: *Mieszaniny obyczajowe* i *Nawrócenie*, są potraktowane skrótowo, a — być może — stanowią one w twórczości Kuśniewicza przełom. Wielokrotnie miałam też wrażenie, że bogate odwołania do polskiej krytyki bardziej zaciemniają, niż podbudowują sądy, które bronić się powinny same. Można podziwiać skrupulatność autora w wyznaczaniu punktów wspólnych, nie służy ona jednak lepszej problematyzacji.

Praca niemieckiego badacza, odznaczająca się konsekwencją i dużą dyscypliną myślową, jest ciekawym i solidnie uargumentowanym wkładem do opisu zjawiska, które niezbyt łatwo poddaje się systematycznej analizie ze względu na synkretyczność, zacieranie ostrych kształtów i mieszanie form.

Anna Nasitowska

BYCIE HUMANISTĄ

O ARTYKUŁACH JANUSZA SŁAWIŃSKIEGO W „TEKSTACH” (1972—1981)

Określenie, czym jest humanistyka, jakie są jej funkcje i cele społeczne, to sprawa banalna, jeśli pozostajemy na poziomie najogólniejszych definicji lub podniosłych haseł. Wraz ze skonkretyzowaniem tła problemu pojawia się złożoność i komplikacja. Trudności powstają zwłaszcza wówczas, gdy próbujemy mówić o XX-wiecznej humanistyce. Przeżywszy już niejedną „czas nieludzki”, humanistyka ta boryka się przede wszystkim z poważnymi kłopotami egzystencjalno-etycznymi. Dotkliwie odczuwa także swą niższość, drugorzędność wobec nauk niehumanistycznych, kształtujących oblicze wieku rozwiniętej cywilizacji przemysłowej.

Szczególne rozterki przeżywa literaturoznawstwo. Nie dość, że świat zwraca na nie mało uwagi, działa ono jeszcze pod presją osiągnięć dyscyplin pokrewnych — językoznawstwa, antropologii kulturowej, etc. Nawet na własnym polu badawczym nauka o literaturze nie czuje się swojsko, gdyż wielu pisarzy i krytyków uważa ją za intruza. Ta sytuacja skazuje literaturoznawcę na nieustanne, prawie syzyfowe przekonywanie innych o potrzebie własnego istnienia. Fizykom i matematykom (językoznawcom również) musi dowieść, że buduje samodzielną wiedzę systemową; literatom — że nie pasożytuje na ich dokonaniach¹.

Oba dowody są trudne do przeprowadzenia. Literaturoznawcom bowiem nie udało się do tej pory wypracować takiej koncepcji badań, która umożliwiłaby osiągnięcie wyników wystarczająco wiarygodnych (sprawa naukowości). Nadal nauka o literaturze nie ma także prawa uważać się za samodzielną w pełni, skoro korzysta ze wsparcia innych dziedzin — głównie filozofii, socjologii, psychologii i językoznawstwa.

Ow element scjentyzmu, który zbliża literaturoznawstwo ku nauce, psuje natomiast do reszty stosunki z pisarzami i krytykami. Literaturoznawca, „skażony” poszukiwaniem prawdy, nie potrafi celebrować mitologii literackich. Zamiast rozstrzygać, czy dane dzieło jest wybitne, woli zastanawiać się nad kryteriami wyboru. Ponieważ stwierdza, że nie ma obiektywnych zasad odróżniania geniuszu od małości, grozi mu wygnanie z dyskusji, czyli z życia literackiego. Jedyna możliwość obrony to ironiczna riposta (np. wygłoszenie tezy, iż sądy wartościujące są zamaskowanymi stosunkami społecznymi — pisarzy uznaje się za wybitnych ze względu na interesy jakiejś grupy²).

Na literaturoznawcę, którego pochłaniają te osobiste kłopoty, spada również ciężar ogólnych problemów XX-wiecznej humanistyki. W dobie krytyki filozofii i innych teorii esencji³ myśl ludzka staje przed niezmiernie trudnym zadaniem. Osiągnięcia poznawcze skłaniają ją do pożegnania się z prawdą, a przynajmniej do pogodzenia się z nieuchwytnością prawdy w gąszczu rzeczywistości. Poznanie staje się coraz trudniejsze, pojęcia i terminy coraz mniej godne zaufania. Zwiększa się obszar niepoznawalnego.

Owe dylematy, którym ostrość ujęcia teoretycznego nadaje cech tragedii, w prozie praktyki literaturoznawczej nie są tak patetyczne, ale przez to jeszcze bardziej dotkliwe. W pewnym sensie życie toczy się obok nich: powstają nowe artykuły, prace doktorskie i habilitacyjne. Istnieje także wiele sposobów uciekania od przekłębionych problemów — można jednocześnie uprawiać literaturoznawstwo i krytykę, godzić się na uzależnienie własnej dyscypliny od filozofii lub językoznawstwa, nie zauważać przemian w myśli współczesnej i być wiernym zasadom XIX-wiecznej historii literatury, itd. W rezultacie problemy zamiast mobilizować siły badawcze — rozluźniają wewnętrzną dyscyplinę. Różnorodność postaw, którą usprawiedliwia brak nadrzędnych zasad, zezwala w praktyce na dominację jednej i tłumienie innych (jakże wiele zależy często od układów instytucjonalnych lub odporności badacza na presję środowiska). Chociaż autorzy opracowań *stricte* literaturoznawczych nie przyznają się do podobnych kłopotów, nie łudźmy się, że jakakolwiek praca intelektualna odbywa się w warunkach sterylnych. Właśnie owa

¹ Zob. N. Frye, *Polemical Introduction*. W: *Anatomy of Criticism. Four Essays*. New York 1970.

² *Ibidem*, s. 22—23.

³ Zob. J. Culler, *On Deconstruction. Theory and Criticism after Structuralism*. Ithaca, New York, 1982, s. 128 n. Polska wersja fragmentów tej książki: *Dekonstrukcja i jej konsekwencje dla badań literackich*. Przełożyła M. B. Fedewicz. „Pamiętnik Literacki” 1987, z. 4.

miazga problemowo-środowiskowa określa egzystencję literaturoznawcy, decyduje o zakresie swobody jego poczynań, reguluje stosunki między podmiotami nauki (od asystenta do profesora zwyczajnego). Opisać ją to opisać wpływ, jaki wywierają dylematy literaturoznawców na ich codzienność (i odwrotnie), poznać personalne niepokoje, ukryte za auktoralną narracją prac naukowych.

Temat to zarazem ważny i niedogodny. Zawiera wiele zagadnień, których unika oficjalna metodologia. Zajęcie się nim oznacza naruszenie literaturoznawczego tabu, ujawnienie wielu spraw zakulisowych, słowem — „wsadzenie kija w mrowisko”. Bezkształtność miazgi (trudność jej intelektualnego opanowania) i „niebezpieczne” konteksty socjologiczne powodują, że brak odpowiednich opracowań. Mimo że istnieje bardzo ważna książka na temat egzystencji literaturoznawcy-humanisty, nie została jeszcze wydana. Tworzą ją artykuły Janusza Sławińskiego zamieszczane w wychodzącym w latach 1972—1981 dwumiesięczniku „Teksty”. Unikatowość tego zbioru wypowiedzi skłania do sprzeciwienia się fizycznemu brakowi owej książki i do podjęcia z nią dialogu. Decyzja omówienia wiąże się również z nadzieją, że te rozprawy ukażą się w końcu w osobnym tomie.

Dzieło Sławińskiego, choć oryginalne i fascynujące, trudno jednak przyjąć bezkrytycznie (otwarcie prowokuje ono czytelnika do sporu). Z kolei troska o to, by rozliczyć się z nim rzetelnie, nakazuje posługiwanie się w dialogu językiem, proponowanym przez dzieło. Jedną z najważniejszych idei nie wydanej książki Sławińskiego jest analiza własnego języka. W epilogu (tj. w przedostatnim wydanym numerze „Tekstów”) autor zaleca, aby „na samego siebie [...] spojrzeć jak na obiekt historyczny, uczynić się częścią przedmiotu własnych dociekań”⁴.

Ten postulat, w połączeniu z wyeksponowaniem „ja” w artykułach Sławińskiego, sugeruje, żeby odpowiedzieć na dzieło również postawą osobistą, choć (zob. „część przedmiotu”) zobiektywizowaną. Wynikiem naśladowania opozycji budowanych przez autora owej „książki” jest przeciwstawienie: mistrz — czeladnik (adept). Problemy wspólnej dziedziny wyznaczają im różne role. Dysponują też różnymi doświadczeniami w zmaganiu się z rzeczywistością. Zadanie mistrza to sformułowanie programu naprawy; czeladnika — osiągnięcie wyższej pozycji w rzemiośle. Być może dlatego czeladnik częściej niż mistrz zadaje sobie pytanie, czy rzemiosło to ma szansę ostać się wobec opisanych już zagrożeń.

Wstępne przejrzanie materiału dostarcza odrobiny uciechy niskim instynktom adepta. W dorobku „Tekstowym” Sławińskiego, składającym się z przeszło 30 tytułów⁵, znajduje adept pozycje — jego zdaniem — wstydlive. Nie podoba mu się ogłoszenie części artykułu *Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego* w postaci osobnego szkicu (autoprzedruk?)⁶, nie śmieszą go także teksty-żarty. Ocenia je raczej jako korzystanie w nauce z ambony. Mówca znajdujący się na niej jest uniezależniony od audytorium. Nie może mu ono przerwać wypowiedzi ani zareplikować; przeciwnie — powinno z uwagą wysłuchać kaznodziei i zachować jego słowa, nawet jeżeli będzie nim Hańkowski feldkurat Katz. Mówcę

⁴ js, *Notatka o rzeczy wartej zapamiętania*. „Teksty” 1981, nr 4/5, s. 307.

⁵ Głównym przedmiotem refleksji są felietony wstępne w poszczególnych numerach periodyku. Poza tym uwzględniam wszystkie pozycje podpisane imieniem i nazwiskiem (nie zajmuję się natomiast tekstami opublikowanymi pod pseudonimem). Wymieniając te pozycje w przypisach pomijam nazwisko autora i tytuł czasopisma.

⁶ *Historio literatury — badaj się sama*. 1976, nr 2. Por. J. Sławiński, *Analiza, interpretacja i wartościowanie dzieła literackiego*. W zbiorze: *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa*. Kraków 1976.

chronią rytuał i charyzma (tutaj polonistyczna). Profanowi — oczywiście — nigdy by na podobne wystąpienie nie pozwolono (zob. otoczenie wprowadzającej do numeru wypowiedzi S. Cichowicza formułami stosowanymi zazwyczaj przez przewodniczącego obrad⁷, poprzedzenie artykułów o metaforze dykteryjką ze środowiska⁸).

Złośliwe spostrzeżenie nie poprawia samopoczucia adepta. Zarzucając sobie prymitywną zazdrość, temperuje swój krytycyzm i chciwie łowi słowa mogące odnosić się do jego osoby. Wprawdzie aż 3 (w tym najobszerniejszy)⁹ spośród 22 „wstępniaków”, wywołujących w swoim czasie duże poruszenie w środowisku polonistycznym, są poświęcone osobnikom niby jeszcze niższym rangą (uczniowie szkoły średniej), lecz czeladnikowi „nic po tym”. Wobec uczniów formułuje Sławiński program edukacyjny, który do niego samego nie może już zastosowania. Pytanie o własną osobę niepokoi go ze względu na główny temat wprowadzeń. Jest nim ogólna sytuacja literaturoznawstwa i sprawa postaw jego przedstawicieli. Temat ten wyraźnie współgra z fundamentalnym zainteresowaniem adepta: cel i sens bycia humanistą. Dowiedzenie się, co o nim myślą, w jego rozoznaniu równa się rozstrzygnięciu wątpliwości: czy i ja mogę wziąć udział w poszukiwaniach?

Pozornie panuje w artykułach Sławińskiego tolerancja i nie ma w nich podziału na bohaterów czarnych i białych. Wybitny specjalista, jedyny, który może w danej dziedzinie dokonać autentycznych przełomów, okazuje się zadziwiająco niesprawnym poza jej granicami. Do łask przywraca Sławiński dyletanta, snoba, modnisiar¹⁰ i eklektyka¹¹, którzy kontaktując się z różnymi dziedzinami wiedzy, goniąc za nowinkami, wkraczając na zakazane obszary, poszerzają horyzonty literaturoznawstwa. Czeladnikowi ani w głowie identyfikować się z którymś z wymienionych koryfeuszy wiedzy. Gorzej, iż nie czuje się również żadną z napiętnowanych person: ani estetą, przesadnie dbającym o uporządkowanie dyskursów nauki, ani doktrynerem, wyznawcą czystości własnej metody, ani purystą, niustępliwym rzecznikiem obowiązujących standardów badawczych¹². W ujęciu Sławińskiego zostają oni wprawdzie potępieni za skostniałość metodologiczną, lecz nie ma wątpliwości, iż należą do wrogów, których w miarę poważa. Adept nie przyznaje sobie konsekwencji cechującej działalność negatywnych typów.

Budzącą się nadzieję zabija wyrok potępienia, na który czeladnik w końcu natrafia. Dostrzega siebie na samym dnie humanistyki, gdzie przebywają „szeregowi wyrobownicy nauki”, „dłubacze”, „epigoni”, „przeżuwacze”, „kompilatorzy”¹³ i „prowincjusze”¹⁴. Zafrapowany bliskim mu tematem „bycia humanistą”, zdążył już zapomnieć o ambonie. Teraz ponownie nabiera nieufności do mistrza, który zamknął przed nim wrota gildii. Spogląda na uhonorowanych, bada różnicę między sobą a nimi. Tamci — zauważa — to osobowości (innych nie wpuszczono), zatem przeciwieństwo szarzyzny i przeciętności, którą on sam reprezentuje. Nagrodzono

⁷ Udzielenie głosu Stanisławowi Cichowiczowi; Podziękowanie Stanisławowi Cichowiczowi. 1980, nr 3, s. 1, 9.

⁸ Prawdziwie poruszeni informacją. 1980, nr 6, s. 1.

⁹ Zaskodzi niepolepszenie. 1972, nr 6; Literatura w szkole: dziś i jutro. 1977, nr 5/6; O czym trzeba pomyśleć, zanim przystąpi się do układania programu szkolnej humanistyki? 1981, nr 2.

¹⁰ Trzy postrachy. 1975, nr 3.

¹¹ Wzmianka o eklektyzmie. 1980, nr 1.

¹² Ibidem.

¹³ Trzy postrachy, s. 5.

¹⁴ Zwłoki metodologiczne. 1978, nr 5, s. 4—5.

ich za różnorodność propozycji¹⁵, doskonale opanowanie różnorodnych języków badawczych, wyrazistość postawy naukowej (przeciwieństwo „uczuc nijakich”¹⁶), ciekawie postawione problemy, oryginalne, twórcze, kontrowersyjne rozwiązania¹⁷ i inspirujące wnioski¹⁸. Przed depresją ratuje adepta nawrót prymitywnej zazdrości. Uczula go on na ogólnikowość pochwał oraz pochodzenie naukowe wybranych (poza nielicznymi wyjątkami — krąg IBL i współpracownicy „Tekstów”¹⁹). W końcu usta wymawiają szyderstwo: a może to nie gildia, lecz salon?

Natychmiast pojawia się jednak uczucie skruchy. Czeladnik jest pełen niekłamanej podziwu dla Sławińskiego za jego wyjątkową wrażliwość na skomplikowaną sytuację dzisiejszego literaturoznawcy i złożoność przedmiotu badań. Byłoby oszczerstwem posądzać o kastowość umysł tak czuły na niuanse rzeczywistości i świadomy trudów jej intelektualnego opanowywania.

O całkowitym sukcesie wysiłków podejmowanych w tym kierunku nie może być mowy. Główne idee nie wydanej książki Sławińskiego to: kult dla złożoności i powikłania przedmiotu, obojętność rzeczywistości na tzw. ostateczne klasyfikacje, ograniczone możliwości działania w niej, wielość zjawisk ją współtworzących, nieogarniony problem człowieka, świata, historii, wieczna ludzka niewiedza. Nie są to treści wyrażane ostentacyjnie (maniera pisarska sugeruje raczej mniej ważne zagadnienia), lecz trudno uchylić się od uznania ich za fundamentalne. Tkwią bowiem u podstaw sporu, jaki toczy Sławiński ze współczesnością.

Żaden rodzaj refleksji (nawet własny) nie może liczyć na pobłażanie, jeśli zapomina prymarnej prawdy o wyższości przedmiotu nad metodą. Już we wstępie do pierwszego numeru „Tekstów”, dwuniesięcznika o znaczącym strukturalistyczno-semiotycznym tytule (zatem w wypowiedzi, którą — siłą rzeczy — odczytuje się jako wypowiedź programową), Sławiński formułuje sąd kwestionujący niewzruszalność podstaw nowego periodyku. Przyznając zasadniczo, że świat składa się z tekstów i systemów generujących teksty (z języków), wysuwa jednocześnie zastrzeżenie przeciwko „supozycji o językopodobnym charakterze wszelkich tekstów kultury”²⁰. Aby przekonać się, iż nie jest to ustępstwo na rzecz niesystemowości, wystarczy zapoznać się z uzasadnieniem sprzeciwu: „Tłumaczenie różnorodności nie może polegać na jej unicestwieniu”²¹.

Kryterium intelektualnej nieobejmowalności świata pełni w tekstach Sławińskiego rolę probierza wartości poszczególnych postaw badawczych. Autor dyskwalifikuje zwłaszcza taką działalność naukową, która przetwarza środki mające prowadzić do poznania przedmiotu w sam przedmiot (zob. poprzednie uwagi o estecie, doktrynerze, puryście). Z nie mniejszą energią tropi Sławiński analogiczną tendencję w strategiach przedstawicieli dzisiejszej humanistyki. Samo wyliczenie dowodzi tu czułości oka (strategia scjencyficzna, artystyczna, strategia proroka, działacza, oryginalności za wszelką cenę, metodologa²²). Nagroda natomiast przypada tym (dyletant, snob, modniś, eklektyk), którzy zainspirowani niejednorodnością przedmiotu, próbują funkcjonować poza ograniczeniami danej szkoły. Kry-

¹⁵ *Rozszerzone pomyślenie jubileuszowe*. 1978, nr 6, s. 8.

¹⁶ *MRM*, 1980, nr 2, s. 8.

¹⁷ *Ibidem*, passim.

¹⁸ *Podziękowanie Stanisławowi Cichowiczowi*, s. 9; *O opisie*. 1981, nr 1, s. 128, przypis 5.

¹⁹ Zob. *Kazimierz Budzyk — nauczyciel*. 1972, nr 2; *Głos zakulisowego współredaktora*. 1978, nr 3; *Rozszerzone pomyślenie jubileuszowe; Historia „Tekstów” (krótki kurs). Odcinek pierwszy*. 1981, nr 6.

²⁰ *Teksty i teksty*. 1972, nr 1, s. 6.

²¹ *Ibidem*.

²² *Gorzkie żale*. 1973, nr 3.

terium pozostaje to samo: „Już tego wystarczy, by nasza metoda wchłonęła zarazki niejednorodności. Ich roznosicielem jest bowiem sam przedmiot”²³.

Położenie humanistyki wobec emanującego złożonością przedmiotu przedstawia Sławiński jako zarazem żałosne i komiczne. Nie oszczędza nawet wybitnego specjalisty, który (o ironio!) pragnie opanować drobny wycinek rzeczywistości, licząc na to, iż obejdzie się bez kontaktu z innymi dziedzinami wiedzy; który wyobraża sobie, że w wyodrębnionym przez niego obszarze działają czynniki tylko jednego rodzaju²⁴.

Podobnie ironicznie traktuje Sławiński wysiłki podejmowane w celu podciągnięcia nieokreślonej wielokształtności przedmiotu do wielokształtności sztucznego typu. Podkreślanie systemowości dzieła to — zdaniem autora — komplikowanie rzeczy, która z natury jest już dostatecznie skomplikowana. Z pewnym zdegustowaniem obserwuje więc inklinację semiotyków do zajmowania się zniekształconymi wytworami kultury (seryjnymi, standardowymi, zestereotypizowanymi) i omijanie przez nich zjawisk najbardziej złożonych (choćby tzw. arcydzieł). Pocięsza się myślą, iż przed złożonością nie sposób uciec i ostatecznie literacką lekturę tekstu użytkowego określa jako przykład promieniowania problemów wielokrotnie skomplikowanych²⁵.

W *Zwłokach metodologicznych* szyderstwu nie towarzyszy litość. W tym artykule, który dla wielu był ogromnym zaskoczeniem (jakby *Anty-Dühring* napisany przez Dühringa), Sławiński wykpiwa marzenie badacza o złotym wieku (rozpocząć go ma opracowanie doskonałego języka badawczego). Za szyderstwem kryje się niechęć do zwyczaju odsuwania w przyszłość problemów, nie rozpatrywanych z różnych względów przez dzisiejszą naukę. Skarceni zostają wszyscy lekceważący złożoną rzeczywistość, traktujący niepoznawalne zjawiska jako poznawalne na później. Homonimia („zwłoki” — l.mn. rzeczownika „zwłoka”, i „zwłoki” — ‘ciało zmarłego’) demaskuje, że uspokajające twierdzenie „to zrobimy później” jest obroną przed uznaniem prawdy, iż „tego nie zrobimy nigdy”. Rzeczywistość nie stanie się poznawalna pod wpływem automatycznego działania czasu²⁶.

Podobną wymowę (choć pogodniejszą) ma sporządzone przez Sławińskiego *Florilegium*, zawierające wybór najciekawszych tez wygłoszonych na łamach „Tekstów” w latach 1972—1975. Zamyka ów wybór anegdota opowiedziana przez Artura Sandauera, jak przez przypadek i wśród okoliczności z rodzaju prozy życia krytyk zawarł znajomość z Gombrowiczem²⁷. Pojawia się na końcu długiego szeregu wypowiedzi o wysokim stopniu „zmetodologizowania” i innych, utrzymanych w podniosłym tonie emocjonalno-metafizycznym. Rozpatrywana jako chwyt układającego antologię, zdaje się mieć ostrze ironii wymierzone w zadufaną w siebie myśl teoretyczną. Przedrzeźnia ją, wskazując na pospolitą, szarą i niepokorną materię.

Opis złożoności przedmiotu, balansujący na granicy nihilizmu poznawczego, nie może pominąć jej następstw w egzystencji badacza-humanisty (sprawa celowości i użyteczności wysiłków badawczych). Temat ów wymaga odwagi, ponieważ wmyślenie się weń grozi samobójstwem dyscypliny (lub może w jej wrogach zrodzić myśl o morderstwie). Wielości zjawisk odpowiada w humanistyce wielość badaczy, nowych gałęzi wiedzy, problemów i szkół ich rozwiązywania. Nie łączy się to jednak z przyrostem wiedzy. Sławiński zauważa ze smutkiem:

²³ Wzmianka o eklektyzmie, s. 7.

²⁴ Zob. *Trzy postrachy* oraz o niejednorodności przedmiotu: *Jedno z poruszeń w przedmiocie*. 1975, nr 4, s. 1—2.

²⁵ *Jedno z poruszeń w przedmiocie*, s. 4.

²⁶ *Zwłoki metodologiczne*.

²⁷ *Florilegium I (1972—1975)*. 1977, nr 3, s. 6.

„Na naszych oczach rozrasta się rumowisko na wpół zużytych pojęć, nie wyeksploatowanych teorii, wymiętoszonych terminów. Świadomość, że jest ono meta najbardziej nawet ambitnych pościgów za »wiedzą prawdziwie nowoczesną«, działa przygnębiająco [...]”²⁸.

W celu uzupełnienia dodajmy, iż obok rumowiska przepływa fala publikacji naukowych, „nad którą nikt już obecnie nie jest w stanie zapanować”²⁹, i ogólnie w całym tym pejzażu „połapać się trudno nawet komuś, kto znajduje się w środku zachodzących zmian (a może właśnie jemu przede wszystkim)”³⁰. Humanistyka nie tylko nie potrafi dostarczyć ostatecznych ustaleń, w czym nie różni się od innych dziedzin wiedzy, ale ma poważne trudności w określeniu poszczególnych zjawisk.

Zafascynowany czeladnik z uwagą śledzi tezy Sławińskiego o przedmiocie, gdyż znajduje w nich pokarm dla swoich podstawowych wątpliwości. Czuje się przynajmniej trochę usprawiedliwiony ze swojego strachu przed nieogarnionym przedmiotem literaturoznawstwa. Nigdy nie mógł ukryć podziwu dla wielkich konkurentów w dziedzinie, widząc, jak opanowują oni obszar przerażający swoim rozmiarem i wielokształtnością pojedynczych obiektów. Dla adepta wystarczającą ilość problemów stwarza jedno dzieło, przyswojenie jego języka, zrozumienie stanów tam przedstawionych, zidentyfikowanie użytych konwencji, rozpoznanie innowacji i określenie ich celu. Pojęcia biografii, grupy literackiej, prądu, epoki, wywołują ataki intelektualnej agorafobii czeladnika. Nic dziwnego, że zawsze zazdrościł swobodnym podróżnikom po krainie literatury i bezskutecznie próbował dociec tajemnicy stawiania przez nich kroków. Sławiński pokazuje mu, że podziwiani przezeń globtroterzy stąpają nie po ziemi, lecz po mapie. Przesadne zainteresowanie metodologią, skłonność do teoretycznych rozważań, szerokie intelektualne formuły — tylko pozornie dowodzą znajomości rzeczy. W istocie ukrywa się pod nimi obawa przed problemami, które wyłaniają się przy prawdziwym kontakcie z materia. Sławiński pisze o tym ogólnie: „Przenosi ono działającego [tj. metodologa, teoretyka itp.] w inną rzeczywistość i naraża go na ryzyko spotkania z nieobliczalnym i nieznanym”³¹, oraz podaje przykłady z praktyki: badacze literatury „nie przestaną wymyślać coraz chytrzejszych teorii wewnątrztekstowych sytuacji komunikacyjnych po to przede wszystkim, by nie stawać oko w oko z faktycznymi sytuacjami komunikacyjnymi, poprzez które dzieła wchodzą w obieg społeczny”³².

Czeladnik nie potrafi jednak zapomnieć o polonistycznej elicie. Odczuwa również brak skłonności do potępienia siebie za pamiętliwość, gdyż w zestawieniu z tezami o nieskończonej złożoności przedmiotu nie powinien występować podział na małych i na wielkich. Bardziej logiczny w obliczu niepoznawalnej rzeczywistości byłby obraz przedstawiający wszystkich badaczy w roli dozwolonych czeladników. Przedmiot ciągle przecież kpi ze swoich samozwańczych panów.

Najbardziej niepokoi adepta różnorodność języków badawczych u mistrzów. Tak wielkie nagromadzenie ich w jednym miejscu unieważnia podstawowy cel opanowywania języka — przygotowanie do konstruowania tekstów. Przywołane właściwie tylko jako hasła, języki występują w roli znaków, z których, stosując jakiś inny język (ale właśnie tylko jeden!), można zbudować wypowiedź. Dotarcie w tak strome okolice abstrakcji psuje samopoczucie czeladnika. Wymądrza się, a najprawdopodobniej nie rozumie użytego tutaj tajemnego języka specjalistów.

²⁸ *Gorzkie żale*, s. 4.

²⁹ *Ibidem*, s. 7.

³⁰ *Jedno z poruszeń w przedmiocie*, s. 3.

³¹ *Zwłoki metodologiczne*, s. 5.

³² *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*. 1974, nr 3, s. 9.

Nie dziwny się nadwrażliwości adepta — zna dobrze, choć nie wie, co znaczą, dźwięki owego zagadkowego języka. Tylekroć obnażana była przez ów język naiwność adepta, gdy próbował wobec i wzorem wielkich wypowiedzieć wzniosłe „nie rozumiem”. Okazywało się wówczas, iż „nie rozumiem” czeladnika jest doskonale czytelne dla wszystkich znających tajemniczy kod i jego niewidzialne znaki — że komunikacja zaszła, mówiły mu jedynie błyski porozumienia dostrzegalne w oczach patrzących na siebie mistrzów. Problem adepta kurczył się natychmiast do oczywistości lub banału. Obawy przed tajemnym językiem rosły, ponieważ na nim opierają się niektóre artykuły Sławińskiego (*Głos zakulisowego współredaktora* udowadnia, iż opanowanie tego języka jest niezbędnym warunkiem poprzedzającym lekturę „Tekstów”) lub są do niego wprowadzeniem. Młodego doktoranta Sławiński poucza, że sformułowanie „teza kontrowersyjna” w kodzie mistrzów oznacza: teza nie warta dyskusji, niesłuszna, jałowa, a nawet szkodliwa³³.

Obawa adepta przed tajemnym językiem przeobraża się w głód wiedzy, kiedy dostrzega we wzmiankach o nim swoje własne imię. Pisząc o przygnębiającym wrażeniu sprawianym przez rumowisko zużytych pojęć, Sławiński umieszcza na końcu znaczące dla czeladnika zastrzeżenie: „ale przecież tylko słabych ostatecznie zniechęca”³⁴. Adept odczuwa coraz silniejszą potrzebę poznania przynajmniej podstawowych reguł tajemnego języka. Przeczuwa, iż dzięki temu nieobejmowalna poznawczo rzeczywistość i polonistyczna elita przestaną być w jego rozumieniu sprzecznością. W położeniu czeladnika oznacza to pojawienie się iskry nadziei, że wpuszczą go przynajmniej na otwarte zebranie gildii.

Na wstępie swoich poszukiwań od razu odrzuca hipotezę, iż tajemny język to język semiologii. *Zwłoki metodologiczne*, w których Sławiński powątpiewa o możliwościach stworzenia zadowalającej teorii znaków, równouprawnienie przez niego języków badawczych oraz wskazania na pozajęzykowe twory kultury — nie są jedynymi argumentami. Adept przede wszystkim nie dostrzega w artykułach Sławińskiego podstawowej cechy, którą, jak sądzi, powinna posiadać działalność semiologa — dążności do stworzenia ogólnej teorii znaków. Sławiński, owszem, korzysta z aparatury strukturalistycznej, ale nie w celu wypełnienia głównego zadania kierunku. Wyodrębnia języki, opisuje ich znaki i reguły nie po to, by wzbogacić słownik kodów. Procedura semiotyczna, która głównie interesuje badacza, pomaga mu zdemaskować językowość zachowań odwołujących się do wyższej motywacji, opisać ich aspekt obronny przed nieobejmowalnym przedmiotem (geniusz-prorok także w opałach)³⁵.

Sławiński nie służy więc semiologii, lecz zmusza ją do służenia interesom humanistów. Uświadomienie językowości zachowań poprawia bowiem samopoczucie stale wątpiącej o sobie dziedziny wiedzy. Nieporadny mól książkowy (literaturoznawca) przestanie zazdrościć sportowcowi, „złotej rączce” i ojcu rodziny, gdy przekona się, iż zawsze mamy do czynienia z trudem opanowywania języka (trening) i efektywnością manifestacji tekstowej (sukces sportowy). Terapia opiera się na zrozumieniu paradoksu: „Autentyczne życie to cudze teksty, mnie — jako teksty — niedostępne”³⁶.

Niejednoznaczny stosunek do semiologii (korzystanie z aparatury i uchylanie się przed podstawowymi zobowiązaniami kierunku) tłumaczy, dlaczego fascynacji złożonością przedmiotu nie towarzyszy w myśleniu Sławińskiego totalna deprecjacja języka. Przyczyną zdrady jest świadomość skomplikowania rzeczywistości, ale zachowane fundamenty wiary zabezpieczają przed ateizmem. Sławiński akceptuje

³³ *Z poradnika dla doktorantów*. 1980, nr 5, s. 3.

³⁴ *Gorzkie żale*, s. 4.

³⁵ *Ibidem*, s. 5—6.

³⁶ *Teksty i teksty*, s. 7.

zasadę językowości wszystkich zachowań, nawet najbardziej intymnych i osamotnionych (zob. gramatykę lektury³⁷). Prawda o uwikłaniu lingwistycznym (wszystko, co powiem, poczuje, zrobię, jest tekstem w języku; ten wytwór społeczny pozostawia mi jedynie wąski zakres innowacji) nie oznacza dla autora konieczności odgrywania tragedii jednostki odpersonalizowanej. Przypisywanie mu chęci ucieczki z języka w transcendencję byłoby wyjątkową nieuczciwością interpretacyjną. Metafizykę traktuje Sławiński bardzo podejrzliwie, w przekonaniu, że jej przedstawiciele skazani są na to, aby „wróżyć z fusów, zaciemniając wyjaśniać, w sposób natchniony bredzić”³⁸. Lingwistyczne uwikłanie traci resztki cech negatywnych, jeżeli występuje zdystansowanie wobec kodu. Brak dystansu skazuje opis na niekompletność. Tylko młody literaturoznawca — twierdzi Sławiński — nie odczuwający presji sposobów mówienia o wojnie, może zbadać wpływ wojny i funkcjonowanie myśli o niej w kulturze powojennej³⁹.

Obnażanie niesprawności języka wobec rzeczywistości i jednocześnie akceptowanie go możliwe jest dlatego, że autor nie wydanej książki stara się znaleźć formułę kompromisu, godzącą owe nieprzystawalne byty. Świadczą o tym postulaty nakreślające, jak powinien być zbudowany język. Doskonały to „język, w którym da się żyć, skrojony na ludzką miarę, stanowiący przeciwagę dla wyrafinowanych utopii językowych dzisiejszej nauki”⁴⁰.

Adeptowi, poszukującemu podstawowych reguł języka tajemnego, wydaje się, iż wpadł na właściwy trop. Aby dostać się do polonistycznej gildii, trzeba używać języka, który odbija w sobie różnorodność i złożoność świata. Największy grzech to symplifikacja, największa zasługa — komplikacja: „Pani Mayenowa nie gustuje w rozwiązaniach prostych i wygodnych; z prawdziwym upodobaniem wybierze zawsze drogę najeżoną przeciwnościami i komplikacjami, wyboistą, ciernistą — nie zalecaną w itinerariach i bedekerach”⁴¹.

Danuta Danek polemizując z tezami o eklektyzmie zwraca uwagę, że eklektyk, poruszający się wśród różnych konstruktów myślowych, nie może być inspiracją dla nauki nastawionej na empirię, ponieważ nie ma z nią kontaktu⁴². Ten znakomity — skądinąd — argument rozmija się całkowicie z mówieniem Sławińskiego. W jego światopoglądzie badawczym nie ma mowy o żadnym bezpośrednim zetknięciu z empirią: podmiot kontaktuje się z nią wyłącznie za pośrednictwem języka. Zamiast marzenia o spotkaniu z rzeczywistością znajdujemy w nie wydanej książce tęsknotę za tym, aby język dorównał empirii w jej podstawowych parametrach (złożoność, nieuchwytność, wielokształtność), aby w jak najmniejszym stopniu unieruchamiał przedmiot, aby nieustannie sugerował jego dynamikę.

Pragnienie to wyraża również płynna kompozycja artykułów Sławińskiego. Zauważmy na marginesie, że rezygnacja z rygoru formalnego nie wpływa niekorzystnie na wartość merytoryczną (por. głębię widzenia, sprawność stawiania problemów, kontrowersyjne wnioski: opis — nie opowiadanie — podstawową formą wypowiedzi narracyjnej⁴³). Wyjaśnienie genologiczne, że w przeważającej mierze są to teksty pokrewne felietonowi, nie tłumaczy amorfizmu nawet niektórych artykułów wstępnych. Sięgnijmy znów do przywoływanego już kilkakrotnie szkicu *Trzy postrachy*. W pierwszej części zapowiada on, iż będzie poświęcony uzasad-

³⁷ *Odbiór i odbiorca w procesie historycznoliterackim*. 1981, nr 3, s. 25; *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*, s. 17.

³⁸ *Gorzkie żale*, s. 6.

³⁹ *Zaproszenie do tematu*, 1974, nr 5.

⁴⁰ *Wzmianka o eklektyzmie*, s. 8.

⁴¹ *MRM*, s. 4.

⁴² D. Danek, *Anty-Eklektyk. Wyraz istotnego przeświadczenia*. 1981, nr 1.

⁴³ *O opisie*, s. 125.

nieniu postawy wybitnego specjalisty, zaskoczonego sensowną obroną stanowisk prezentowaną przez snoba, modnisią i dyletanta. Tymczasem druga część szkicu to rozwinięcie tez ich obrony.

Konstrukcja artykułów o większym ciężarze gatunkowym nie wydaje się bardziej stabilna. Tendencja do ścisłego, systematycznego przedstawiania zagadnień kłóci się w nich z tendencją do kierowania się w narracji nieograniczonymi (dla tego dowolnie wybieranymi) właściwościami przedmiotu. Każda w danej chwili może zatriumfować. Towarzyszy temu, zresztą, pisarska autoświadomość: „Dalsze uwagi przypominają będą mały i kruchy wagonik przyczepiony do ciężkiego parowozu”⁴⁴.

Podobną nieprzewidywalność wprowadza stylistyka artykułów⁴⁵. Dominującemu w nich dyskursowi scjentyficznemu ciągle zagrażają inne dialekty. Cytat z rozprawy o opisie: „mówimy zawstydzająco mało. Niewiele więcej ponad to na przykład, co powiedziała by ktoś o rękawach marynarki, twierdząc (słusznie), że nie spełniają warunków stawianych nogawkom spodni”⁴⁶.

Jeden z utrzymanych najbardziej serio wstępniaków (o manipulacji) kończy się następującą propozycją: „A może by to widmo przebić kołem osinowym?”⁴⁷

Słowo u Sławińskiego ma za zadanie wywołać niepokój pojęciowy, a w związku z nim niepokój przedmiotowy. Nietypowe nazwanie jakiejś rzeczy zwraca baczniejszą uwagę na samą rzecz. Sławiński wielokrotnie prześciga sam siebie w uduwianiu warstwy słownej. Wiedza o literaturze „przepoczwarza się”⁴⁸; autor „wadzi się”⁴⁹ z preferencjami i uprzedzeniami publiczności; odczytania oraz interpretacje stają się „otulina”⁵⁰ dzieła; itd. itd.

Dziwności te wytrącają ze spokoju odbiorcę, który ośmieliłby się rozgrzeszyć z dociekania sensów artykułu, zakwalifikowawszy go po kilku stronicach do określonego typu refleksji intelektualnej. Dziwne nazwanie powinno poza tym uwrażliwić na nazwanie zwykłe lub bardziej rozpowszechnione. Artykuł o Marii Renacie Mayenowej rozpoczyna zdanie z orzeczeniem, które bardziej nadaje się do opisów dewastacji przedmiotów niż unicestwiania ludzi; mówi to zdanie o „pokoleniu 1910”, które zostało „straszliwie strzaskane przez historię”⁵¹. Ale pamiętając o nim, zupełnie inaczej czytamy później tradycyjnie podniosły fragment o „tych nieżyjących, którzy w latach wojny i okupacji przebyli drogę do nikąd”⁵².

Nietrudno zauważyć, że płynność kompozycyjno-stylistyczna szkiców Sławińskiego, sfunkcjonalizowana wobec przedmiotu nauki (wielokształtność i ostateczna nieobejmowalność przedmiotu), upodobnia wypowiedź naukową do wypowiedzi z dziedziny sztuki. Igranie z różnymi językami badawczymi nie różni się zasadniczo od literackiego igrania z konwencjami artystycznymi. Czeladnik drży na myśl o herezji, lecz nie wycofuje się z wygłoszonej tezy. Odwagi dodają mu oczywiste dowody literackości tekstów Sławińskiego. Można wymienić cały ich ciąg.

Zacznijmy od przekształcania się opisywanych typów zachowań w alegorie (nb. „złota rączka”, ojciec rodziny, sportowiec są — niezależnie od tekstów Sławińskiego — współczesnymi alegoriami). Następnie: wykorzystywanie stylistyki w wy-

⁴⁴ O dzisiejszych normach czytania (znawców), s. 22.

⁴⁵ Zob. uwagi o stylu zawarte w recenzjach *Dzieła — języka — tradycji*: W. Boleckiego w „Nowym Wyrazie” (1974, nr 11) i M. Płacheckiego w „Tekstach” (1975, nr 2).

⁴⁶ O opisie, s. 128.

⁴⁷ *I cóż dalej, szary człowieku?* 1974, nr 2, s. 9.

⁴⁸ *Jedno z poruszeń w przedmiocie*, s. 1.

⁴⁹ *Odbiór i odbiorca w procesie historycznoliterackim*, s. 6.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 7.

⁵¹ *MRM*, s. 1.

⁵² *Ibidem*, s. 3.

zwalaniu się od form. Inaczej trudno wytłumaczyć użycie przez badacza w *quasi-hagiograficznym* opisie dwumiesięcznika „Teksty” takiego archaizmu: „Prędzej szykan i dyskryminacji mógł się [IBL] spodziewać niż przyzwoleń i przywilejów”⁵³.

Dalej — zamiłowanie do środków stylistycznych, np. do zdań rozkwitających: „zdarzenia wynurzają się z niej [tj. z historii] rzadko na powierzchnię — niczym pojedyncze wysepki, a w najlepszym razie niewielkie archipelagi”⁵⁴ (nie dziw — specjalista od awangardy pisze!).

W końcu możemy dostrzec w tym nastawionym antykonwencjonalnie piśmiennictwie objawy choroby, na którą najczęściej zapada podobnie nastawiona sztuka. Mowa o stereotypizacji. Wyczerpywanie się pomysłów ujawnia przy okazji niewrażliwość artystyczną autora na zagadnienie treści. Liczy się głównie chwyt — to samo rozwiązanie pojawia się z różnym znakiem wartości. Nie aprobowane: „Każdy wyróżnia się, jak potrafi. Jeden włożył pepęgi do fraka, drugi krakuską dopełni urzędniczy garniturek, a jeszcze inny pasem słuckim ściśnie płaszcz ortalionowy”⁵⁵, i aprobowane: „Rokokowa berżera osadzona na podstawie fotela dentystycznego byłaby w ich [tj. ludzi wytwornych] oczach tworem równie godnym pogardy, co kundel złożony z korpusu jamnika, odnóży ratlerka i głowy lwa. I to zupełnie niezależnie od faktu, że groteskowa z wyglądu berżera okazała się — założmy — siedziskiem nadzwyczaj wygodnym, a pokraczny kundel stworzeniem o zadziwiającej inteligencji i subtelności uczuć”⁵⁶.

Artystyczność wypowiedzi naukowej, do której doszedł, krocząc po strukturalistyczno-semiotycznej drodze, Sławiński przywodzi na myśl słowa Borisa Eichenbauma o początkach formalizmu, antenata tego kierunku. Podkreśla Eichenbaum, że zainteresowanie literackością pojawiło się równolegle i w związku z nowym typem poezji, nastawionej na samo słowo (futurystycznej), uwolnionej od zobowiązań ideowych⁵⁷. Artystyczna wypowiedź naukowa poświadcza trwałość dziedzictwa. Sztuka określa nie tylko jej stylistykę i kompozycję, ale zastępuje również ideologię. Nie potrzeba być erudytą, żeby dostrzec związek między wizją literaturoznawstwa Sławińskiego a głównymi zapatrywaniami sztuki współczesnej. Rzeczywistością przekraczającą możliwości percepcyjne człowieka interesowały się zawsze powieść strumienia świadomości i poezja surrealistyczna. Skazania na język doświadczyły chyba wszystkie rodzaje piśmiennictwa po r. 1918, a różnorodność propozycji badawczych jest porównywalna z XX-wiecznym literackim szaleństwem „izmów”.

Powyższe konstatacje działają może bardziej przygnębiająco niż rumowisko zużytych pojęć. Dotyczą szkoły, która w swych początkach deklarowała chęć stworzenia naukowej wiedzy o literaturze, wolnej od błędów i wypaczeń krytyki (o samej literaturze nie wspominając). Adept podjął niniejsze rozważania w nadziei, iż zdoła dotrzeć przynajmniej do stóp polonistycznej czyścicowej góry, posiadając odrobinę wiedzy prawdziwej. Teraz zauważa, że jego wola zaczyna słabnąć. Nie może bowiem przymknąć oczu na literacko antypoznawcze cechy modelu, widoczne nawet w punktach z pozoru mocnych.

Niepokój poznawczy sugerowany przez stylistykę i kompozycję artykułów oglądany od strony pozycji autora okazuje się mniej szczytny. Płynność narracji za-

⁵³ *Historia „Tekstów” (krótki kurs)*, s. 2.

⁵⁴ *Odbiór i odbiorca w procesie historycznoliterackim*, s. 12.

⁵⁵ *Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego?* 1979, nr 4, s. 4.

⁵⁶ *Wzmianka o eklektyzmie*, s. 2.

⁵⁷ B. Eichenbaum, *Teoria metody formalnej*. W: *Szkice o prozie i poezji*. Wybór i przekład L. Pszczołowska i R. Zimand. Warszawa 1973, s. 278 i in.

pewnia mu swoisty azyl, uwalnia od odpowiedzialności za dany sąd (ta spada na odbiorcę). Okazuje się to cenne w sytuacjach niedogodnych, kiedy refleksja nad złożoną rzeczywistością prowadzi do wniosków wymierzonych przeciwko własnemu obozowi. Stwierdzenie, że współcześni odbiorcy elitarni mają upodobanie „do wszelkiego rodzaju cytatów, aluzji literackich, odniesień stylizacyjnych wypowiedzi, pastiszu, parodystycznych odwróceń”⁵⁸, jest najkrótszą z charakterystyk artykułów zamieszczanych w „Tekstach”. Jest, ale zarazem i nie jest.

Pół biedy, kiedy rzecz dotyczy kwestii (jak poprzednia) właściwie drugorzędnych. Gorzej, gdy idzie o sprawy zdecydowanie większej wagi. Sławiński, który bez wahania podejmuje najbardziej niebezpieczne dla polonistyki rozważania o przedmiocie, unika wyraźnie opisu ich konsekwencji w płaszczyźnie społecznej. Dziwne, gdyż literaturoznawstwo stojące w obliczu niepoznawalnego musi zastanowić się i nad tym, co poznawalnego ma do zaferowania innym gałęziom wiedzy — i w ogóle ludzkości. Problem wymaga dwustronnego rozpatrzenia: chodzi nie tylko o samopoczucie humanisty w społeczeństwie, ale również o zapotrzebowania społeczne wobec humanistyki. Pierwszy aspekt problemu pojawia się tylko we wzmiankach (szerzej przedstawione są jedynie strategie obronne), o drugim nie pisze Sławiński właściwie ani słowa. Nie ma się czemu dziwić. Podjęcie rozważań musiałoby prowadzić nieuchronnie ku konstatacji nikłych zainteresowań humanistycznych dzisiejszego konsumpcyjnego społeczeństwa, w dodatku sprzecznych z interesami dyscypliny (mit ma zawsze większą szansę na popularność niż prawda). Same wzmianki o samopoczuciu humanisty dowodzą, iż Sławiński jest doskonale świadomy sprawy. Jego literaturoznawca, zastanawiający się nad swoją niewyraźną sytuacją w społeczeństwie, stawia sobie następujące pytania:

„Czy jestem tym, kim być powinienem? Czy to, co robię, może się na coś przyciąć innym? [...] Czy stać społeczeństwo na to, by subsydiować moją pracę, z którą w rezultacie zapozna się ze zrozumieniem kilku kolegów? A może powinienem nastawić się na popularyzację? [...] Co daje lepsze szanse: działalność dydaktyczna czy praca badawcza? Jak zasłużyć sobie na społeczną akceptację, a więc uzyskać poczucie bezpieczeństwa?”⁵⁹

Czeladnik, który zadaje sobie podobne pytania codziennie, nie ma wątpliwości, iż są one równie ważne dla majstra. Płynna stylistyka tekstów Sławińskiego może sprawiać wrażenie, iż ich autor znajduje się na zewnątrz problemu, ale w rzeczywistości problem ten określa w sposób zasadniczy całość pism. Problem użyteczności działań badawczych jest równie ważny jak problem nieskończonej złożoności przedmiotu (Sławiński zresztą w praktyce nie rozdziela tych zagadnień).

Adept, dostrzegający w majstrze podobne do swoich słabości, poczuwa się jednak do obowiązku zaznaczenia istotnej różnicy. W nim samym nie ma wiary w siłę współczesnej humanistyki. Przyczyną upadku ducha jest identyfikowanie mocy poznawczych z wartościami utrwalonymi w minionych epokach. Poglądy Sławińskiego są bardziej elastyczne. Żal mu starych norm związanych z procesem badawczym oraz określających „współzycie w obrębie społeczno-instytucjonalnego porządku nauki”⁶⁰. Nie wierząc jednak w celowość jakichkolwiek procesów reanimacyjnych, całą uwagę poświęca opisowi skutków (dezautomatyzacja, depersonalizacja, biurokratyzacja⁶¹). Sławiński widzi szansę na poprawę notowań humanistyki w jej najnowszych osiągnięciach. Stosowanie aparatury strukturalistycznej nie zapewnia wprawdzie wiedzy o zadowalającym stopniu pewności, ale może się okazać

⁵⁸ *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*, s. 29.

⁵⁹ *Gorzkie żale*, s. 2.

⁶⁰ *Zapowiedź nie dokonanego referatu*. 1978, nr 1, s. 216.

⁶¹ *Ibidem*, s. 217.

przydatne w licznych sytuacjach. Pomaga np. w uwalnianiu się od kompleksów (por. demaskację zachowań z pozoru niejęzykowych), motywuje, w obliczu permanentnej niepoznawalności przedmiotu, istnienie badaczy.

W konkretnym przypadku historii literatury przedmiot skomplikował się już tak bardzo, iż niemal zatarły się zupełnie jego kontury. „Odbiór dzieła, sens dzieła i historyczność dzieła” są „trzema aspektami jednego zjawiska”⁶². Historyk literatury nie może zadośćuczynić żądaniu przedstawienia obiektywnej lektury dzieła, ponieważ takowej nie ma. Horyzonty jego własnej są ograniczone czasem, w którym żyje, i normami środowiska, w którym działa⁶³. Okazuje się, że literaturoznawca to jeden z szeregowych czytelników. Jego uprzywilejowaną pozycję ratuje strukturalizm — dzięki niemu ponownie zapewnia sobie przewagę nad profanami. Nie mogąc ogarnąć przedmiotu, zna przynajmniej jego podstawowy mechanizm. Uświadamiając sobie bowiem językowość własnej lektury, historyk literatury dostrzega również językowość lektur dawniejszych, którą potrafi zrekonstruować⁶⁴. Bezsilność wobec żądania jedyne go sensu dzieła rekompensuje umiejętność rekonstrukcji wszystkich dawniejszych odczytań. Sławiński ironizuje, ukrywając się za niejednoznaczność stylistyką, ale sam wierzy w siłę życiowej humanistyki „w okolicznościach, gdy przyrost humanistycznej kadry naukowej wyprzedza dotychczasowe możliwości jej wchłonięcia i wykorzystania”⁶⁵.

Adeptowi wydaje się, że powoli zaczyna rozumieć powody zdrady strukturalistycznych klerków. Słabości modelu Sławińskiego uświadamiają mu, iż artystyczna wypowiedź naukowa (nawrót do literatury) jest także odpowiedzią na społeczną sytuację humanistyki wobec niepoznawalnego przedmiotu, nie tylko na sam przedmiot. To zrozumiałe, że Sławiński poszukuje najlepszych rzemieślników: chodzi bowiem bardziej o przetrwanie niż o poznanie. W kwestii ostatniej czeladnik mógłby się jeszcze na coś przydać (wypełnić stosowne do jego sił zadanie poznawcze). W boju, jaki musi staczać humanistyka o swoją społeczną aprobatę, nie może sobie ona pozwolić na cackanie się z maruderami.

Ostrość podziału na polonistyczną gildię i zwykłych wyrobników w tekstach Sławińskiego jest zatem całkowicie wytłumaczalna. Podobnie jak zastrzeżenie tylko dla osobowości, reprezentujących zasadniczo różnorodne języki badawcze, umiejętności wypowiedzania się w jednoczącym języku tajemnym. Tylko one (same będąc skomplikowane i niepoznawalne) są w stanie przyciągnąć społeczną uwagę ku złożonej rzeczywistości. Dlatego Sławiński-literaturoznawca tak łatwo rezygnuje ze szczególnych uprawnień własnej dziedziny w szkole średniej. Posuwa się do propozycji zlikwidowania lekcji języka polskiego: blok gramatyczny zmieściłby się w ramach wychowania obywatelskiego (nabywanie umiejętności wypowiedzania się), a z resztek przedmiotu można by stworzyć wychowanie estetyczne. Przygotowywałoby ono ucznia do odbioru różnorodnego typu dzieł, na ogół bardziej — przyznaje Sławiński — popularnych wśród młodzieży niż literackie: filmu, spektaklu teatralnego, form muzycznych i plastycznych. Znawczy patronowałoby przedmiotowi częściej kontaktując się z nauczycielami. Zlikwidowano by pośrednictwo, czyli metodykę, w której pracach króluje „komunał przystrojony w szatę uczoności”. Rozwinięto by natomiast podryglomowe kształcenie nauczycieli⁶⁶. Wychowane przez geniuszy pokolenie miałoby mniej wątpliwości co do społecznej wagi humanistyki.

⁶² *Odbiór i odbiorca w procesie historycznoliterackim*, s. 8.

⁶³ *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*.

⁶⁴ *Ibidem*, s. 24. Konkretny przykład takiej rekonstrukcji: *Martwa pogoda* (M. Dąbrowska). 1973, nr 4.

⁶⁵ *Zwłoki metodologiczne*, s. 8.

⁶⁶ *Zaszkodzi niepolepszenie*.

Czeladnik mógłby złośliwie doradzić autorowi, by przygotowując do wydania książkowego szkic o mechanizmach obronnych dzisiejszych humanistów (*Gorzkie żale*), poszerzył listę strategii (proroka, eksperta...) o strategię strukturalistyczno-artystyczną. Przestał jednak odczuwać żal za niedopuszczenie go do polonistycznej gildii. Widząc, iż warunkiem dostania się tam jest udział w konkurencji o ilość i jakość opanowanych języków, bez żalu wycofuje się z bieżni. On — jak go nazywa Sławiński: „provincjusz” — choć wie, że naraża się na śmieszność, ciągle ceni sobie tradycyjną kategorię prawdy. Daleko mu do negowania osiągnięć poznawczych myślenia strukturalistycznego (nauczyło go, że jest mówiony, uwrażliwiło na bogactwo języków w świecie), ale chciałby także dostrzec w nauce jakiś bardziej szczytny cel niż konkurencję. A tyle mu przecież obiecywano w początkach strukturalistycznej edukacji. Świat składa się ze zbyt wielu zjawisk, aby można było dojść do wiedzy ogólnej na drodze indukcji. My jednak zbudujemy model, który pozwoli nam objaśnić wielkie ilości faktów i różnorodność świata zostanie opanowana. Osiągnęliśmy ideał akurat przeciwny: zwielokrotniliśmy ją. Znaleźliśmy się w środku, odtworzonej przez nas, kakofonii świata. To prawda, że znamy wiele różnych języków; słyszymy także inne dźwięki, o których też wiemy, iż są językami, choć nie zdążyliśmy jeszcze ich opanować. Nie mamy natomiast pojęcia, w jakim celu wszystkie te dialogi się toczą, i widzimy, że w większości wypadków ludzie wypowiadający się w danym języku nie są zainteresowani jego poznaniem.

Utwierdziwszy się w swoim konserwatyzmie, czeladnik pociesza się myślą, iż również Sławiński nie wyrzekł się w zupełności ambicji czysto poznawczych. Kilkakrotnie w artykułach „Tekstowych” powracają postulaty z *Dzieła — języka — tradycji*, zwłaszcza w rozprawach nastawionych na zagadnienia ściśle specjalistyczne⁶⁷. Główna jednak tendencja to odchodzenie od wcześniejszych założeń lub rozwijanie tych, które pasują do nowej koncepcji. W tejże książce Sławiński pisze jeszcze eufemistycznie, że XX-wieczna kultura literacka nie wartościuje konwencji: na wyższych poziomach umieszcza osobników, którzy zdołali opanować szerszy zakres różnorodnych konwencji⁶⁸. W „Tekstach” autor sprawę przedstawia z brutalną jasnością. Współcześni humaniści sami nie wiedzą, jakich wartości mają bronić: „kultura literacka dzisiejszych znawców (nie zawsze tak bywało...) jest zdominowana przez wiedzę i kompetencję przy wyraźnie drugoplanowej roli gustu”⁶⁹.

Kapłani, którzy nie wierzą w Boga? Nie dziwny się. Artystyczna koncepcja nauki konotuje nieuchronnie rzeczywistość artystyczną. Historia literatury to teatr, na którego scenie widzimy „aktorów procesu historycznoliterackiego” grających określony „repertuar” w myśl różnych „scenariuszy”⁷⁰. W końcu rzeczywistość staje się nierzeczywista jak fabuła nierealistycznego utworu. Intelktualna nieobejmowalność świata zostaje zastąpiona substytutem wieloznaczeniowości typowej dla utworów literackich.

Można zżymać się w trakcie lektury, wskazywać i opisywać różnorakie profesjonalne kompleksy, ale nie ma wątpliwości, iż napisał Sławiński dzieło znakomite, warte osobnej edycji książkowej. Dzisiejsza polonistyka ma skłonność do stawiania kroków w chmurach. Snuje subtelne rozważania na specjalistyczne tematy, lecz boi się spojrzeć na samą siebie w polskich (i nie tylko) społecznych

⁶⁷ Zob. np. *O opisie*.

⁶⁸ J. Sławiński, *Socjologia literatury i poetyka historyczna*. W: *Dzieło — język — tradycja*. Warszawa 1974, s. 73.

⁶⁹ *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*, s. 22.

⁷⁰ Ulubione sformułowania Sławińskiego.

uwikłaniach końca XX wieku. „Książce” Sławińskiego należy się miano pierwszej pozycji, której autor rezygnuje z przywilejów katedry dystansujących wobec rzeczywistości. Naukowiec wyrzeka się zabezpieczenia w postaci zwyczaju (jakoby niepodważalna rola humanistyki) i szuka sensu oraz celu działalności badawczej. Okazuje się, że bez podwórki tradycji sytuacja literaturoznawstwa zaczyna się chwiać. Złożona rzeczywistość wymyka się naukowemu opisowi, a mające zapobiec temu wysiłki badawcze zwielokrotniają dodatkowo złożoność zagadnień. Heroiczności czynu Sławińskiego nie umniejsza fakt, iż jego własna propozycja to subtelna, lecz — niestety — wciąż jedynie kolejna wersja zachowań obronnych wobec rzeczywistości. Sprzeciwmy się jednak interpretacji, która tę drogą okupioną przegrana (czy ktoś kiedyś wygra podobną batalię?) chciałaby uznać za klęskę. Autor nie wydanej książki pokonał przede wszystkim tych, którzy udają, że historia nie zna następujących nazwisk: Marks, Darwin, Nietzsche, Freud, Heidegger, Lévi-Strauss, Barthes, Foucault i Derrida. Treść dzieła określa potrzeba przeformułowania programu humanistyki tak, by mogła odpowiedzieć na wyzwanie rzucone przez przenikliwą, precyzyjną, lecz nie potrafiącą udzielać prostych odpowiedzi XX-wieczną myśl. Humanistyka nie może w czasach relatywizmu i zasady nieoznaczoności twierdzić, że opiera się na niewzruszonych odwiecznych ideach. Sławiński — jeden z nielicznych — oparł się rozpaczliwej modzie pokonywania kryzysu humanistyki głośnymi okrzykami na jej cześć.

Stefan Szymutko